

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PUDDLEBY

Dawno, dawno temu, kiedy nasi dziadkowie byli jeszcze dziećmi, żył sobie pewien doktor. Na nazwisko miał Dolittle – dr n. med. John Dolittle. „Dr n. med.” oznacza, że był to prawdziwy doktor i autentycznie znał się na rzeczy.

Mieszkał w niewielkim miasteczku zwanym Puddleby. Wszyscy mieszkańcy, niezależnie od wieku, znali go z widzenia. Ilekroć szedł ulicą w swym charakterystycznym cylindrze, ludzie mówili: „O, doktor idzie! Mądry z niego człowiek!”. Psy i dzieci biegły za nim jak królewska świta, a nawet wrony na kościelnej wieży krakały na jego widok i kiwały głowami.

Domek, w którym mieszkał pan doktor, mieścił się na skraju miasteczka. Nie był zbyt wielki, ale za to stał w okazałym ogrodzie z szerokim trawnikiem i kamiennymi ławeczkami skrytymi w cieniu płaczących wierzb. Siostra doktora, pani Sara Dolittle, prowadziła doktorowi dom, lecz ogrodem zajmował się on sam.

John Dolittle był wielkim miłośnikiem zwierząt i jego dom zawsze stał dla nich otworem. Oprócz złotej rybki w stawie na końcu ogrodu doktor miał też króliki w kredensie, białe myszki w pianinie, wiewiórkę w białizniarce i jeża w piwnicy. Posiadał również krowę z cielakiem, kulawego



koniu starszka i jeszcze kurczaki, i gołębie, i dwie owce, i w ogóle mnóstwo różnych zwierząt. Szczególną sympatią darzył jednak kaczkę Dab-Dab, psa Jipa, prosiaka Geb-Geb, papugę Polinezję oraz sowę Tu-Tu.

Siostra doktora kręciła nosem na te wszystkie zwierzaki i narzekała, że strasznie brudzą jej w domu. Któregoś dnia pewna starsza dama, która przyszła po poradę w sprawie bolących stawów, usiadła na śpiącym na kanapie jeżu. Od tej pory więcej się u doktora Dolittle nie pokazała. Wołała jeździć co sobotę dziesięć mil do Oxenthope, w którym przyjmował inny lekarz.

Siostra doktora, pani Sara Dolittle, powiedziała wtedy do brata:

– Zastanów się, John! Jak chcesz, żeby ci wszyscy chorzy biedacy do ciebie przychodzili, skoro masz w domu menażerię? Ładny mi lekarz z jeżami i myszami w gabinecie! To już czwarta osoba, którą te zwierzaki przepłoszyły. Pan Jenkins i proboszcz powiedzieli, że choćby nawet byli śmiertelnie chorzy, ich noga więcej w twojej przychodni nie postanie. Zaczyna już być krucho z pieniędzmi. Jak tak dalej pójdzie, żaden porządny człowiek nie będzie chciał się u ciebie leczyć.

– Ja tam wolę zwierzęta niż tych „porządných ludzi” – powiedział doktor.

– Jesteś zupełnie niepoważny! – prychnęła jego siostra i rozzłoszczona wyszła z pokoju.

I tak z czasem do domu pana doktora wprowadzało się coraz więcej rozmaitych zwierzków, za to coraz rzadziej przychodzili pacjenci. W końcu w ogóle przestali się pojawiać z wyjątkiem dostawcy karmy dla kotów, któremu nie przeszkadzały żadne zwierzęta. Niestety dostawca karmy nie był specjalnie bogaty, a do tego chorował tylko raz do roku w okolicach Bożego Narodzenia. Płacił wtedy doktorowi sześć pensów za butelkę syropu.

Sześć pensów rocznie nawet w tych dawnych czasach nie starczało na życie i gdyby nie oszczędności w skarbonce, kto wie, czym by się to wszystko skończyło. Tymczasem doktor ciągle zapraszał nowe zwierzęta. Ponieważ zwierzęta te trzeba czymś karmić, a za jedzenie trzeba płacić, w doktorskiej skarbonce z dnia na dzień ubywało oszczędności. W końcu trzeba było sprzedać pianino i myszki musiały przenieść się do szuflady biurka. Ale pieniędzy z pianina też nie starczyło na długo, więc przyszła kolej na brązowy niedzielny garnitur. Bieda coraz śmielej zaczęła zaglądać do domu doktora. Teraz, kiedy siedł ulicą w swym charakterystycznym cylindrze, ludzie szeptali między sobą: „O, idzie pan doktor John Dolittle! Kiedyś to był najbardziej wzięty lekarz w tej części kraju! Teraz popatrzcie tylko: w dziurawych skarpetkach paraduje!”.

Ale psy i dzieci nadal biegły za nim przez miasteczko, zupełnie jak wtedy, kiedy był jeszcze bogatym doktorem.



ROZDZIAŁ DRUGI

JĘZYK ZWIERZĄT

Pewnego dnia doktor siedział sobie w kuchni i rozmawiał z dostawcą karmy dla kotów, który przyszedł po lekarstwo na bolący brzuch.

– A może zacząłby pan leczyć zwierzęta zamiast ludzi – zaproponował dostawca karmy.

Papuga Polinezja siedziała w kuchennym oknie i, wpatrzona w krople padającego deszczu, nuciła marynarską piosenkę. Teraz przestała śpiewać i nadstawiła uszu.

– Przecież pan, panie doktorze, wie wszystko o zwierzętach – ciągnął dostawca karmy dla kotów. – Dużo więcej niż ci, pożałuj Boże, weterynarze. Weźmy, dajmy na to, tę pańską książkę o kotach. No prostu znakomita! Ja co prawda nie umiem czytać ani pisać... gdybym umiał, pewnie sam bym coś napisał... ale moja żona Teodozja to uczona kobieta. Przeczytała mi pańską książkę na głos. Wybitne dzieło, panie doktorze, wybitne! Zupełnie jakby pan sam był kotem. Doskonale je pan rozumie. Proszę mi wierzyć, na leczeniu zwierząt można dobrze zarobić. Wie pan co? Mam pomysł! Jak którejś staruszce w miasteczku rozchoruje się piesek albo kotek, mogę je do pana przysyłać. A gdyby nie chciały się rozchorować, mógłbym coś niecoś dodać do mięska i trochę im w tym pomóc. Co pan na to?

– Nie, nie! Tak nie można! – zaprotestował doktor. – To by nie było uczciwe.

– Ale nie tak naprawdę rozchorować! – tłumaczył się dostawca karmy. – Miałem na myśli tylko takie lekkie sflaczenie. Chociaż może ma pan rację. Może to nie byłoby do końca w porządku wobec tych zwierząt. Ale przecież one i tak chorują, bo staruszki za bardzo je tuczają. O! A poza tym przychodziliby rolnicy z okulałymi końmi i chorymi owcami. Naprawdę powinien pan zacząć leczyć zwierzęta!

Kiedy dostawca karmy wyszedł, papuga sfrunęła z okna na stół doktora i powiedziała:

– Ten człowiek dobrze gada! Powinien go pan posłuchać. Powinien się pan wziąć za leczenie zwierząt. Proszę dać sobie spokój z głupimi ludźmi! Skoro są na tyle ślepi, że nie mogą poznać się na najlepszym lekarzu pod słońcem, to nie warto sobie nimi zawracać głowy. Niech pan się zajmie zwierzętami. One natychmiast na pana się poznają! Naprawdę powinien pan zostać weterynarzem!

– Ale jest już przecież mnóstwo weterynarzy – mruknął John Dolittle, wystawiając za okno kwiatek w doniczce, żeby napił się trochę deszczowej wody.

– To prawda – powiedziała Polinezja. – Tylko że żaden z nich do niczego się nie nadaje. Niech pan posłucha, doktorze. Czy wie pan, że zwierzęta potrafią mówić?

– Wiem, że papugi to potrafią – odparł doktor.

– O, my, papugi, mówimy dwoma językami: ludzkim i ptasim – z dumą oświadczyła Polinezja. – Kiedy mówię: „Polly chce ciasteczko!”, pan wie, o co mi chodzi, prawda? Ale niech pan posłucha tego: „Ka, ka, fii, fii, fii?”.

– Mój Boże! – zawołał doktor. – A cóż to znowu było?

– To po ptasiemu znaczy: „Czy kasza jest już ciepła?”.



– Niemożliwe! Naprawdę? – zdumiał się doktor. – Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówiłaś.

– A po co miałam to robić? – powiedziała Polinezja, strzepując sobie okruszek ciastka z lewego skrzydła. – I tak by pan nie zrozumiał.

– Powiedz coś jeszcze! – poprosił podekscytowany doktor i popędził do kredensu po notes i ołówek. – Tylko powoli, żebym zdążył zapisać. To bardzo interesujące, bardzo! W życiu o tym nie słyszałem! No dawaj! Poproszę o podstawy ptasiego. Tylko powolutku!

W ten oto sposób doktor dowiedział się, że zwierzęta mają własny język i mogą ze sobą rozmawiać. Przez całe deszczowe popołudnie Polinezja siedziała na kuchennym stole i dyktowała ptasie słówka, które on zapisywał w kajecie.

Kiedy w porze podwieczorku do kuchni przydreptał pies Jip, papuga powiedziała do doktora:

– Widzi pan? Mówi do pana.

– Jak dla mnie to on się drapie w ucho – stwierdził doktor.

– Bo zwierzęta nie zawsze mówią słowami – wyjaśniła papuga, uczenie unosząc brwi. – Mogą też mówić uszami, nogami, ogonami, wszystkim. Czasem po prostu chcą to zrobić po cichu. Proszę spojrzeć, jak wykrzywia nos.

– I co to znaczy? – spytał doktor.

– To znaczy: „Nie zauważył pan, że przestało padać?” – przetłumaczyła Polinezja. – Zadaje panu pytanie. Psy prawie zawsze zadają pytania nosami.

Wkrótce dzięki pomocy papugi doktor znał język zwierząt na tyle dobrze, że mógł z nimi rozmawiać i rozumieć wszystko, co do niego mówiły. Wtedy w ogóle przestał leczyć ludzi.



Kiedy dostawca karmy dla kotów rozniósł po okolicy wiadomość, że John Dolittle zamierza zostać weterynarzem, miejscowe starsze panie ruszyły tłumnie ze swymi przekarmionymi mopsami i pudlami, a rolnicy nawet z bardzo daleka zaczęli przyjeżdżać, żeby doktor obejrzał ich chore krowy i owce.

Któregoś dnia przyprowadzono do niego gospodarskiego konia. Biedaczysko nie posiadał się ze szczęścia, że wreszcie spotkał osobę mówiącą po końsku.

– Wie pan co, doktorze? – powiedział. – Ten konował na górze jest

zupełnie do niczego! Od sześciu tygodni leczy mi zdrową nogę, a ja potrzebuję okularów! Coraz gorzej widzę na jedno oko. Niby dlaczego konie nie miałyby nosić okularów tak jak ludzie? Ale ten oferma na górze nawet nie spojrzał na moje oczy. Ciągłe tylko zapisuje mi jakieś wielkie piguły. Próbowałem mu powiedzieć, ale on po końsku to ani be, ani me! A ja potrzebuję okularów!

– Oczywiście – powiedział doktor. – Już przepisujemy okulary.

– Chciałbym mieć takie jak pan – poprosił koń. – Tylko zielone, żeby słońce mnie nie raziło, kiedy będę orał.

– Nie ma sprawy, będą zielone – zgodził się doktor.



– Wie pan, doktorze, to jest tak – powiedział na odchodnym koń. – Wszyscy myślą, że zwierzęta to może leczyć każdy, bo one i tak nigdy się nie skarżą. A prawda jest taka, że leczenie zwierząt wymaga znacznie więcej rozumu niż leczenie ludzi. Syn mojego właściciela na przykład uważa, że wie wszystko o koniach. Szkoda, że go pan nie widział. Twarz tak spasiona, że nie widać oczu, a mózg jak u stonki ziemniaczanej! W zeszłym tygodniu próbował mi przykleić plaster gorczyczny!

– Gdzie ci go przykleił? – przestraszył się doktor.

– Och, w końcu nigdzie nie przykleił – powiedział koń. – Próbował przykleić. Kopnąłem go tak, że wleciał do stawu.

– Ojej! – mruknął doktor.

– Z reguły jestem bardzo spokojny – wyjaśnił koń. – Mam cierpliwość do ludzi i nie narzekam. Ale ten niby-specjalista z góry porządnie mnie zdenerwował. A już kiedy ten spasiony niedorajda zaczął się do mnie dobierać z plastrem gorczycznym, po prostu mnie poniosło!

– Bardzo go uszkodziłeś? – spytał doktor.

– Skąd! – prychnął koń. – Kopnąłem go tam, gdzie trzeba. Teraz weterynarz się nim zajmuje. Na kiedy będą okulary?

– Na przyszły tydzień – powiedział doktor. – Proszę przyjść we wtorek. Miłego dnia życzę!

John Dolittle wyszperał gdzieś parę wielkich zielonych okularów i kłopoty konia ze wzrokiem skończyły się raz na zawsze. Wkrótce w okolicach Puddleby widok zwierząt gospodarskich noszących okulary nikogo już nie dziwił, a ślepe konie przeszły do historii.

Podobnie było ze wszystkimi zwierzętami, które przyprawiano do doktora. Kiedy dowiadywały się, że doktor zna ich język, mówiły mu, jak się czują

i gdzie boli, a on z łatwością je leczył. Ozdrowiali pacjenci wracali do siebie i opowiadali wszystkim krewnym i znajomkom o doktorze, który mieszka w małym domku z wielkim ogrodem i naprawdę zna się na rzeczy. Odtąd, gdy tylko jakieś stworzenia źle się czuły – nie tylko konie, krowy i psy, ale cały ten polny drobiazg, jak myszy, piżmaki, borsuki czy nietoperze – waliły jak w dym do chatki na skraju miasteczka, a wielki ogród doktora prawie zawsze pełen był pacjentów czekających na wizytę.

Przychodziło ich tak wielu, że w końcu doktor musiał zamówić specjalne drzwi dla różnych gatunków. Nad głównym wejściem powiesił tabliczkę z napisem „Konie”, nad bocznym: „Krowy”, a nad kuchennymi drzwiami – „Owce”. Każdy gatunek miał swoje oddzielne wejście, nawet dla myszek przeznaczono wąski tunelik prowadzący do piwnicy, w której cierpliwie czekały, aż doktor do nich zejdzie.

I tak po kilku latach wszystkie żywe stworzenia w promieniu wielu, wielu mil wiedziały, kto to jest dr n. med. John Dolittle. A ptaki odlatujące na zimę opowiadały zwierzętom w ciepłych krajach o wspaniałym lekarzu z Puddleby, który rozumie ich mowę i umie im pomóc w kłopotach. W ten sposób doktor stał się znany wśród wszystkich zwierząt świata, i to dużo bardziej niż wcześniej wśród ludzi w okolicznych kręgach. John Dolittle był bardzo szczęśliwy i zadowolony z życia.

Któregoś popołudnia doktor pisał coś w zeszycie, a Polinezja siedziała swym zwyczajem w oknie i patrzyła, jak wiatr przesypuje suche liście w ogrodzie. Nagle papuga wybuchnęła śmiechem.

– Co się stało, Polinezjo? – spytał doktor, podnosząc wzrok znad zeszytu.

– A nic, tak sobie pomyślałam – odparła papuga i dalej patrzyła na liście.

– Co sobie pomyślałaś?



– Pomyślałam sobie o ludziach – wyjaśniła Polinezja. – Wydaje im się, że są tacy wspaniali! Świat istnieje od tysięcy lat, prawda? I przez cały ten czas jedyną rzeczą, której zdołali się nauczyć o języku zwierząt, było to, że merdanie ogonem znaczy: „Jestem zadowolony”. Zabawne, nie? Jest pan pierwszym człowiekiem, który umie z nami rozmawiać. Czasem aż mnie skręca ze złości, kiedy myślę o ludziach! Te ich napuszone uwagi o tym, co to ich niby odróżnia od zwierząt! Wielcy mi mędrzy! Znałam papugę, która umiała powiedzieć „dzień dobry” na siedem różnych sposobów bez otwierania dzioba! Znała wszystkie języki łącznie z greką. Kupił ją kiedyś uczony profesor z siwą brodą. Nie wytrzymała z nim długo. Podobno staruszek okropnie kaleczył grekę i jeszcze uczył innych z błędami. Nie mogła tego ścierpieć. Ciekawe, co teraz porabia. Ten ptak lepiej się znał na geografii niż jakikolwiek człowiek! Ludzie, też mi coś! Założę się, że jeżeli kiedykolwiek nauczą się latać – jak pierwszy lepszy wróbel – będą o tym trąbić do końca świata!

– Mądre z ciebie ptaszysko – pochwalił doktor. – A właściwie to ile ty masz lat? Podobno papugi i słonie bardzo długo żyją.

– Nigdy do końca nie wiem – odparła Polinezja. – Sto osiemdziesiąt trzy albo sto osiemdziesiąt dwa. W każdym razie, kiedy po raz pierwszy przybyłam tu z Afryki, król Karol ciągle jeszcze siedział na dębie¹. Widziałam go. Aż się trząśł biedaczek ze strachu!

¹ Według legendy król Anglii Karol II w 1651 roku, uciekając przed wrogami, skrył się w koronie wielkiego dębu.